NOWINY TYGODNIA

Sobota
27. X. 1956 r.
Nr 40 (336)

DODATEK SPOŁECZNO — KULTURALNY „NOWIN RZESZOWSKICH"

Piękno ziemi rzeszowskiej

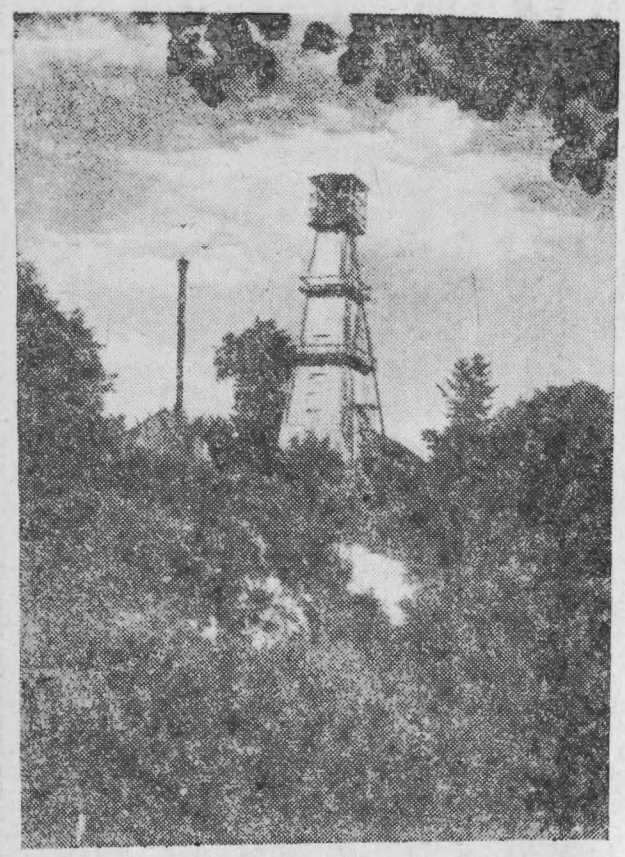

Do historii naszej nafty należy już ujęty na zdjęciu wygląd szybu naftowego systemu linowego. Drewniane rygi wiertnicze nieraz malowniczo położone nad rzeką Wisłokiem, Jasiołką, Sanem czy Osławą ustąpiły już miejsca konstrukcjom stalowym.

Na zdjęciu nie istniejący już szyb „Kronen 11" w Krościenku (Ślączka) obecnie przedmieściu Krosna.

Foto — Wit

Lenin na trzech wiecach w sprawie polskiej

Genewa koniec stycznia 1905 r.

Nazajutrz po „Krwawej Niedzieli" petersburskiej, gazety szwajcarskie na pierwszej stronie tłustym drukiem zamieściły depeszę o wybuchu rewolucji w Rosji. Wśród tamtejszej emigracji politycznej zapanowało ogromne ożywienie. Wielu zwija manatki, oczekując momentu, aby skończyć wreszcie z beznadziejnym życiem emigracyjnym. Odbywają się wiece, demonstracje i odczyty na tematy polityczne.

W tym samym czasie w Genewie odbywał się zjazd polskiej postępowej młodzieży akademickiej. Studenci polscy, delegaci na zjazd od razu porwani zostali wirem rozkołysanego życia politycznego tamtejszej emigracji rewolucyjnej. Wśród przybyłych do Genewy delegatów znajdował się również znany demokrata polski, Henryk Lukrec, wówczas młody student warszawski. Dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności Lukrecowi udało się dostać na zamknięte zebranie emigrantów rosyjskich, na którym przemawiał Lenin i tam zadać mu pytanie co do perspektyw sprawy polskiej.

Po przeszło 40 latach Henryk Lukrec tak pisze o swym zetknięciu się z Leninem na gruncie genewskim:

„...Przewodnicząca zapowiedziała dyskusję, nadmieniając jednocześnie, że kto nie życzy sobie występować jawnie i imiennie może zgłaszać pytania na piśmie. Myśl o tym, że miałbym podnieść rękę na znak, że pragnę mówić wobec obecnych tu potęg i augurów, wydawała mi się szaleństwem. Po naradzie z sąsiadem stanęło, że mam na kartce zgłosić pytanie pod adresem Lenina. Wreszcie, po długiej męczeńskiej chwili, wykoncypowałem pytanie, które już wcześniej nieco wyrosło na niedawnym zjeździe naszej młodzieży:

„Czy w razie zwycięstwa rewolucji rosyjskiej Polska odzyska niepodległość?" Kartka moja poszła z ręki do ręki poprzez rzędy krzeseł w kierunku stołu prezydialnego. Na szczęście nie była ona jedna i samotna. Nagromadziło się ich kilkanaście. Pocieszałem się więc myślą, że inni, znacznie starsi ode mnie, woleli milczeć i wystąpić bezimiennie. Gdy ustała słowna wymiana zdań, Lenin wziął się do kartek. Nie odpowiadał na wszystkie, odłożył jedną, drugą, trzecią, odpowiedział na czwartą.

Naraz odczułem dojmujący skurcz serca na widok mojej kartki w ręku Lenina. Trzymał ją w palcach ale wzrokiem wodził przez chwilę po obecnych, jakby chciał dojrzeć autora pięknego pytania. Włodzimierz Iljicz Lenin odpowiadał. Mówił o zasadzie samostanowienia narodów, mówił gorąco o kamieniu grobowym przygniatającym Polskę, mówił o zbrodni rozbiorów. Twierdził z żarem przekonania, jakby zapatrzony w wizję przyszłości, że Polska odzyska swoją niepodległość na gruzach caryzmu i w wyniku zwycięskiej rewolucji ludu pracującego".

* * *

Genewa 20 stycznia 1908 r.

W sali „Handwerk", z inicjatywy grupy emigracyjnej SDKPiL, zwołany zostaje wielki międzynarodowy więc protestacyjny przeciwko prześladowaniu Polaków przez rząd pruski — *Meeting international de protestation contre les persecutions des Polonais en Prusse.* Przemawiało wielu mówców: socjalista włoski Barge, profesor Wszechnicy Genewskiej, Edgar Milhand, przedstawiciel Deutscher Allgemeine Arbeiterverein — Erdman i jeszcze jeden towarzysz niemiecki, dwaj socjaldemokraci polscy (których nazwisk, niestety, nie znamy), przedstawiciel Bundu — Sommerówna oraz kilku socjaldemokratów rosyjskich. Wśród nich Lenin. Tekst jego przemówienia nie zachował się, ale rezolucja, którą zebrani wówczas socjaldemokraci — przedstawiciele różnych narodów na tym wiecu - uchwalili, może nam powiedzieć o stanowisku Lenina w sprawie polskiej. Oto jak brzmi podjęta wówczas rezolucja:

„Obywatele zebrani w sali „Handwerk" protestują jednogłośnie przeciw barbarzyńskiej polityce antypolskiej rządu pruskiego. Protestują przeciw usunięciu języka polskiego ze szkół, przeciw prawu ujarzmiającemu proletariat rolny, przeciw projektowi o wywłaszczeniu Polaków na korzyść feudałów pruskich, projektowi, który jest najbardziej rażącym objawem polityki bismarckowskiej. Sprzyja jej system wyborczy do Landtagu pruskiego, oparty na trzech klasach, uniemożliwiający socjalistom wstęp do sejmu.

Zgromadzenie wyraża swoje głębokie współczucie uciśnionemu proletariatowi polskiemu i wzywa go do wstąpienia w szeregi socjalnej demokracji niemieckiej, aby wywalczyć wraz z nią głosowanie powszechne, bezpośrednie i tajne, dzięki któremu lud polski będzie mógł odzyskać swoje prawa narodowe. Zgromadzenie śle równocześnie swą gorącą sympatię proletariatowi pruskiemu, walczącemu o głosowanie powszechne, bezpośrednie i tajne — wyraża zaś oburzenie swoje z powodu barbarzyńskiego postępowania policji berlińskiej wobec robotników manifestujących spokojnie i rozchodzi się z okrzykiem: *„Vive la Pologne libre! Vive l'Internationale Ouvriere!"*

* * *

Moskwa 2 sierpnia 1918 r.

W Instytucie Politechnicznym na Zamoskworeczu na godzinę 11 zwołano wiec pożegnalny Czerwonego Pułku Warszawy, przed jego wyruszeniem na front. Przybył cały skład osobowy jednostki na czele z dowódcą Żbikowskim i komisarzem Bobińskim. Licznie reprezentowana była tutaj również moskiewska Polonia rewolucyjna, przyszedł Marchlewski, Budzyński, Próchniak, Ścibor i inni.

Zbliża się moment otwarcia wiecu. Nastrój uroczysty. Wszyscy wiedzą już, że za chwilę przyjechać ma Lenin. Wreszcie pojawia się.

„Ogromna sala wypełniona była po brzegi — wspomina obecna na tym wiecu Helena Bobińska. — Wejście Lenina przywitał grzmot oklasków. Orkiestra zagrała „Międzynarodówkę". Sztandary zalaliły czerwienią i złotem. Od drzwi do estrady ułani utworzyli kordon. Zaledwie Lenin zrobił pierwszy krok, błysnęły ostrza szabel, krzyżując się nad jego głową.

Doszedłszy do estrady, odwrócił się i powiedział z żartobliwym wyrzutem: — „Ech, towariszczi Polaki, bez efekta nikak nie możetie..."

Powiódł dłonią po wierzchu głowy i spojrzał po twarzach śmiejącymi się oczami.

— Chot by predupredili! A to, jej bogu, ispugałsia!

Uśmiech przeleciał po setkach młodych twarzy. Szmer zachwytu, zdziwienia, radości wybuchnął w żywiołowym okrzyku:

— Niech żyje Lenin!"

Chwilę później stał już na mównicy.

— „Sądzę — mówił Lenin — że my, zarówno polscy jak i rosyjscy rewolucjoniści, palamy teraz jednym pragnieniem uczynienia wszystkiego w celu obrony zdobyczy pierwszej potężnej rewolucji socjalistycznej, po której nieuchronnie nastąpi szereg rewolucji w innych krajach. Trudność dla nas polega właśnie na tym, że wypadło nam wystąpić o wiele wcześniej niż robotnikom krajów bardziej kulturalnych, bardziej cywilizowanych..."

Dalej mówił Lenin o wojnie, jaką imperialiści narzucili rewolucyjnej Rosji, mówił o solidarności narodów Europy z rosyjską rewolucją robotniczą, o internacjonalizmie.

— Obecnie urzeczywistnia się sojusz rewolucjonistów różnych narodów, o czym marzyli najlepsi ludzie, prawdziwy sojusz robotników, nie zaś inteligenckich marzycieli.

Przezwyciężenie wrogości i nieufności między narodami — to rękojmia zwycięstwa.

Przypadł nam w udziale wielki zaszczyt: bronić z orężem w ręku świętych idei i walcząc wespół z wczorajszymi nieprzyjaciółmi z frontu — z Niemcami, Austriakami, Węgrami — w praktyce urzeczywistnić międzynarodowe braterstwo narodów.

Po wiecu skromna część artystyczna. W programie — deklamacje polskich wierszy. Młody Wojciech Brydziński żarliwie recytuje „Orła" Bolesława Czerwieńskiego. Lenin słucha w zadumie.

opracował
Józef Kozłowski

KRZYWDA

Obraz ten wciąż mam przed oczami. Prześladuje mnie jak zmora, której nie mogę się pozbyć. Należę do tego typu ludzi, którzy utrwalają w swej pamięci pewne wydarzenia, obrazy raczej przykre i pamiętają je bardzo długo. Czasami zazdroszczę ludziom, których nic nie może wzruszyć, ludziom o kamiennych twarzach, głazom. Zazdroszczę i zarazem współczuję (czasami rodzą się w człowieku tak sprzeczne uczucia), rodzi się nieraz bunt przeciwko takim ludziom. Zajmują oni bardzo często poważne stanowiska, decydują na tzw. szczeblu. Miałoby się nieraz chęć postrącać ze szczebla głazy. Mam dla nich o tyle wyrozumiałości, że są to ludzie nieodpowiedni, na nieodpowiednich miejscach, którzy czasami nie rozumieją rzeczy, o których mają decydować. Chyba najwięcej takich siedzi w kulturze.

Znam człowieka, nie tylko ja go znam, nauczyciela z zawodu, który w okresie międzywojennym pracował w Besku, gdzie zorganizował i prowadził orkiestrę i chór. Po wojnie założył znany zespół Fabryki Obuwia w Krośnie, który z regionalnymi rzeszowskimi piosenkami i tańcami produkował się nie tylko w Polsce, ale i w Moskwie, Berlinie i Czechosłowacji. Podziwiano go na Festiwalu. Szczyciło się tym zespołem całe województwo. Nie zastanawiano się ile energii i pracy włożył w ten surowy materiał ludzki, który trzeba było wyćwiczyć. Człowiek mający ku temu przygotowanie i szczere chęci, ba entuzjazm, człowiek, któremu zależało i zależy na tym, by dać swój wkład w kulturę Rzeszowszczyzny. Jest to prof. Szmyd. Po paru latach pracy w zespole odchodzi. Nie chce wspominać o tym okresie prof. Szmyd. Nerwowym ruchem ręki chce zatrzeć w pamięci te czasy. Z członkami zespołu pozostaje w stałym kontakcie, gdyż jak sam twierdzi są to uczciwi i wartościowi ludzie, których bardzo ceni.

Na polecenie WRN prof. Szmyd organizuje w Krośnie ognisko muzyczne, które w tej chwili zajmuje 3-pokojowy lokal. Ognisko się rozrosło. W trzech małych pokojkach trudno pomieścić 206 ludzi. Nauczyciele są zmuszeni prowadzić lekcje na zimnym korytarzu. I odtąd zaczęła się walka prof. Szmyda z miejscowymi władzami o przydzielenie 2 pokoi przyrzeczonych dla ogniska.

Jeżeli Czytelniku spotkasz człowieka, który kłania się w pas przewodniczącym PRN i MRN (w KP stracił wiarę) człowieka, który codziennie rano o godzinie 10 puka do drzwi miejscowych „czynników", to jest to właśnie prof. Szmyd.

Od trzech lat trwa walka o dwie sale dla ogniska muzycznego w Krośnie, które jak twierdzą mieszkańcy tego miasta jest tam konieczne. Od 3 lat prof. Szmyd dostaje obietnicę — „jutro o godzinie 10 załatwimy". Ta gra w ciuciubabkę doprowadziła do tego, że człowiek, który dużo zrobił dla województwa, zwłaszcza dla Krosna, stracił zaufanie do władzy powiatowej i jest zdania, że wszyscy kłamią i nie należy wierzyć nikomu. Tak potrafi złamać człowieka kilku ludzi, którym na rozwoju kultury, a zwłaszcza kultury muzycznej zależy jak na piątym kole u wozu. Wymowne jest zdanie wiceprzewodniczącego MRN w Krośnie Szafrańskiego „Ja wiem, że dobrze pracujecie. Od was mogliby wychodzić muzykanci na wesela". Tak, jest duże zrozumienie dla kultury muzycznej.

Prof. Szmyd oprócz normalnej pracy w ognisku, zupełnie bezinteresownie opiekuje się zespołami muzycznymi i tanecznymi w świetlicach powiatu krośnieńskiego, przychodzi z fachową pomocą. — Jestem chory — stwierdza, — Ale nie boję się wyjazdów w teren. Chętnie pomogę, nie chcę za to nic, prócz odrobiny wyrozumiałości i pomocy. Niestety znajduję tylko kamienne twarze, ludzi, którzy bardzo często nie ze złej woli, ale po prostu z braku zrozumienia dla spraw kultury nie chcą, ba nie widzą potrzeby, by pomóc czy załatwić takie czy inne sprawy. Takich ludzi, jak prof. Szmyd mamy niewielu w województwie i tym ludziom trzeba pomóc. Prof. Szmyd powtarza, jak on to nazywa „bajeczkę" bolesną, lecz prawdziwą historię ze swego życia. Mieszkacn w 2-pokojowym mieszkaniu bez kuchni i wody. Dosłownie w zagrzybionej norze. Mieszka w tym mieszkaniu od dość dawna. Trzy lata temu starał się o nowe mieszkanie. W urzędzie mieszkaniowym powiedziano mu, że jest 700 podań, jego 701. Więc mniej więcej, kiedy dostanę mieszkanie? — zapytał. — Za trzy lata — otrzymał odpowiedź. Od tego czasu nikomu o mieszkanie nie dokuczał, cierpliwie czekał. Po trzech latach w urzędzie mieszkaniowym zjawia się prof. Szmyd i skromnie pyta o mieszkanie. Cierpliwość ludzka chyba nie ma granic. Mieszkania do tej pory nie otrzymał. A przecież kilka pokoi po geofizyce stało od dwóch lat próżnych, ale nikomu do głowy nie wpadło, żeby je przydzielić dla ogniska, czy choćby na mieszkanie dla prof. Szmyda. W tym samym budynku, gdzie mieści się ognisko jest trzy świetlice, do których mało kto przychodzi. O jedną z nich stara się ognisko do tej pory.

Szkoda nerwów i czasu — twierdzi prof. Szmyd. Na odpowiednich stanowiskach muszą być odpowiedni ludzie, a wtedy można będzie walczyć o sprawy, o które z małymi, bardzo małymi rezultatami walczymy od 12 lat wszyscy. Wtedy można będzie się bić o kulturę. Zgadzam się ze zdaniem prof. Szmyda. Do pracy kulturalnej winni wrócić ludzie, którzy zostali z takich czy innych względów odsunięci od pracy kulturalnej, ludzie, którzy na te stanowiska się nadają.

Zdenek Vasata dyrygentem a Tadeusz Grobelny solistą

na listopadowej premierze koncertu orkiestry symfonicznej

Listopadowa premiera koncertu Wojewódzkiej Orkiestry Symfonicznej w Rzeszowie będzie wielką atrakcją dla miłośników muzyki poważnej. Weźmie w niej udział zaproszony z Czechosłowacji dyrygent orkiestry praskiej telewizji Zdenek Vasata, pod dyrekcją którego nasza orkiestra wykona uwerturę Mendelssohna „Hebrydy" oraz symfonię Antoniego Dworzaka. Solistą koncertu będzie Ignacy Grobelny — skrzypek, koncertmistrz i solista orkiestry Polskiego Radia we Wrocławiu.

Warto nadmienić, że Grobelny pochodzi z naszych stron, z powiatu ropczyckiego. Po koncercie w Rzeszowie wystąpi w Przemyślu i rodzinnym Sędziszowie. —

(t)

PRZECIW MUCHOM
KTÓRE Z WOŁAMI NIE ORAŁY

Są takie wyrazy, których sens można bardzo różnie interpretować. Do nich należy demokratyzacja — słowo, które stało się głównym hasłem tych wielkich, przełomowych dla naszego narodu dni. Doświadczenie przekonało nas jednak, że podczas gdy dla jednych demokratyzacja oznacza rzeczywiste ludowładztwo, stosowanie leninowskich norm życia partyjnego, samorządy robotnicze, wyzwolenie umysłów z pęt dogmatyzmu — to inni — szafując na prawo i lewo słowem demokratyzacja — proces ten sprowadzić chcą do odgórnego dawkowania, zamknąć go w wąskich ramach gabinetów.

Są wśród nich tacy, którzy w swych publicznych wystąpieniach dali wyraz swym poglądom. Z mównic, na plenach komitetów partyjnych padły słowa o „rozhisteryzowanej inteligencji", o szkodliwej działalności prasy, o niesłuszności eksperymentowania przez załogi robotnicze, szukające wyjścia z naszego impasu ekonomicznego. Warcholeniem nazwano bojową, zdyscyplinowaną, wykazującą ogromną dojrzałość polityczną postawę robotników w gorących dniach obrad VIII Plenum. Usiłowano potępić postępowanie Komitetu Warszawskiego, który wykazał w przełomowych dniach VIII Plenum, że wierzy w klasę robotniczą, że nie boi się masowych wystąpień narodu. A wszystko to w powiązaniu z szumnymi frazesami o konieczności dokonania procesu demokratyzacji w naszym kraju.

Tych, którzy publicznie wyrazili swe zdanie, którzy w codziennej praktyce życia politycznego i gospodarczego usiłowali wprowadzać swoje credo — znamy. Poznaliśmy ich, mimo że formy ich wystąpień i praktyk były wykrętne i zakamuflowane. Nie jest przypadkiem, że nie weszli oni do najwyższych władz partyjnych, że pod naciskiem mas ustępują i będą musieli ustępować z poczesnych stanowisk w aparacie partyjnym i państwowym. Na ich miejsce weszli i wchodzą ludzie, którym naród wierzy.

Jednakże prócz działaczy, którzy zdemaskowali się swoją działalnością są i tacy, którzy obrali inną taktykę. Ludzie ci — działacze partyjni, działacze rad narodowych, instancji związkowych — w okresie gorącej dyskusji nad metodami uzdrowienia naszego życia gospodarczego i politycznego przysiedli cicho i nie puszczali pary z ust. Nie wykluczam, że znaczną część stanowili wśród nich ludzie zdezorientowani, nie umiejący znaleźć samodzielnie swojego stanowiska w burzliwym nawale przemian. Nienajlepiej świadczy to o nich jako działaczach — ale cóż. Twierdzę jednak, że poważną część spośród tych, którzy siedzieli cicho, stanowili ludzie, którzy wykazali bierność nie ze względu na nieświadomość, ale dlatego, że bliskie i drogie było im to, co głosili jawni przeciwnicy konsekwentnej demokratyzacji. To ludzie, którym głęboko weszły w krew stalinowskie metody rządzenia za masy, dyrygowania masami i innymi metodami działać nie potrafią. Siedzieli cicho może z obawy, że poglądy ich nie będą popularne, nie znajdą poparcia w masach, może z obawy, że gdy zwyciężą siły postępowe zostaną pozbawieni swych ciepłych stanowisk.

Czy ludzie ci odegrali swą rolę w burzliwym okresie przemian? Owszem, tak. Ich to „zasługą" jest trzymanie w nieświadomości znacznej części społeczeństwa. Ich to zasługą jest fakt, że w wielu okręgach naszego kraju wystąpienia ludności wyrażające poparcie dla wielkich przemian, wystąpienia popychające naprzód proces przemian odbywały się i odbywają poza plecami komitetów partyjnych, bez kierowniczej roli instancji partyjnych, bez poparcia aparatu związków zawodowych.

Wielu spośród tych ludzi uznało jednak, że nie można przespać okazji w burzliwych chwilach, że trzeba się zdecydować. I w roli muchy siedzącej na karku woła krzyczą — „Myśmy razem orali" — „Naszą zasługą jest postępujący proces przemian, myśmy zawsze byli jego zwolennikami". Czy znaczy to, że zmienili swe poglądy, że głęboko przekonani są o konieczności demokratyzacji naszego życia? Gdyby tak było moglibyśmy im wybaczyć, że zdecydowali się dość późno, a nawet to, że przypisują sobie zasługi, których nie wnieśli.

Obawiam się jednak, że jest inaczej, że nie wyzbyli się swych dążeń, a szermowanie wyrazami „postęp" i „demokratyzacja" jest dla nich nadal czczym frazesem, wekslem, na który nie mają pokrycia w szczerym zrozumieniu konieczności przemian. Nadal będą usiłowali hamować postęp, rzucać kłody pod nogi tym, którzy go rzeczywiście pragną wcielać w życie. Znajdować będą tysiące przeszkód, by utrudnić robotnikom wprowadzenie w życie samorządów w zakładach. W każdym słusznym wystąpieniu krytycznym upatrywać będą warcholenie. Samodzielną i twórczą myśl w budownictwie socjalizmu w Polsce traktować będą jako zboczenie z drogi budownictwa nowego ustroju.

Trzeba zdać sobie sprawę, że nieraz trudno będzie odróżnić działaczy tego typu od ludzi, którzy rzeczywiście w ostatnim okresie przeszli ogromne przemiany w ciężkim zmaganiu się ze starymi nawykami myślenia i działania, by przejść na nowe pozycje. A jest takich wielu. Chodzi jednak o to, by odróżnić ich od tych, którzy przywdziewają nowe szaty dlatego tylko, że w nich lepiej, wygodniej stosować stare praktyki.

Wiele politycznej rozwagi wykazuje naród w przełomowych dla kraju dniach. Nie mniej rozumu i rozwagi potrzeba nam w dalszym pchaniu naprzód procesu przemian. By jednak maszerować bez kul u nogi, trzeba przejrzeć nasze szeregi. Na stanowiskach kierowniczych w aparacie partyjnym, państwowym, w radach narodowych czy w instancjach związkowych nie może być zarówno tych ludzi, którzy swymi wystąpieniami, swą praktyką już zdemaskowali się, jak i tych, którzy traktując słowo „demokratyzacja" jako wygodny frazes, pragną wkładać drągi w szprychy wozu.

J. Kiełducka

Z plastyki rzeszowskiej

DZIEWCZYNA — *Monotypia — R. Prokulewicz*

Wnoszę o zmianę wyroku

Ażeby być lepiej zrozumianym, proszę najpierw o ocenę teoretycznej sytuacji. Oto pewien człowiek dostawszy do ręki dokument z XVII wieku, obojętne — papierowy czy pergaminowy — po przeczytaniu go, bez skrupułu drze, a szczątki rzuca w ogień. Każdy człowiek, mający nieco szacunku dla historii, określi takiego osobnika co najmniej mianem barbarzyńcy i szkodnika. Historyk takiego człowieka podałby do prokuratora z wnioskiem o ukaranie.

Zdajemy sobie sprawę, że dokumenty historyczne mogą być różnego rodzaju, nie tylko pisane; dokumentem są ruiny, skorupy naczyń, grób, żużel z wytopu itd. I wreszcie dokumentami o niesłychanej wartości są stare nazwy, obojętne czego; gór, strumieni, dolin, a nawet tworów sztucznych. Słynna w dziejach Polski jest bitwa z Tatarami, zwycięska bitwa prowadzona przez chłopów w Nowosielcach k. Przeworska. Tradycja mówi, że w tej bitwie zginęło 40 Tatarów razem z wodzem i że poległych pogrzebano na terenie wsi Białoboki (też w powiecie przeworskim). Mogiłę usypano na wzgórzu i lud do ostatnich czasów nazywał to miejsce Górą Tatarską. Był więc wśród pól mały kopczyk, porosły krzewami i drzewami. Aż przyszedł ktoś chciwy na parenaście metrów kwadratowych ziemi, drzewa i krzewy wyciął, kopczyk zaorał — inaczej zniszczył dokument historyczny, tak cenny dla historii wsi.

W dniu 9 września br. byłem w Lublinie z wycieczką architektów rzeszowskich. Miejscowy inżynier, pracownik Wojewódzkiego Zarządu Architektoniczno - Budowlanego objaśniał swoim kolegom rzeszowskim plan rozbudowy Lublina. Przedstawiał jakie w najbliższym czasie powstaną nowe dzielnice i tu rzecz ciekawa; wszystkim nowym dzielnicom pozostawiono stare topograficzne nazwy, a więc pól, łąk, względnie przysiółków z okolicy miasta. Jest to dowód wielkiej kultury i szacunku dla nazw historycznych.

A teraz przenieśmy się do Rzeszowa, tutaj też powstają nowe dzielnice na terenach, które miały bardzo stare nazwy. I znów były to nazwy pól, przysiółków czy nawet całych wsi. Tak więc na południe od Zamku były „Stawiska", teren, na którym były ongiś rozległe stawy zamkowe. Żyją jeszcze ludzie, którzy pamiętają jak na tych mokradłach kumkały żaby. Dziś stoi tam cała dzielnica, świadectwo rozwoju miasta, pracy inżynierów i robotników.

Teren na zachód od Stawisk, teren pagórkowaty od dawien dawna nazywał się „Rudki". Wyraz ten niewątpliwie pochodzi od wyrazu ruda i można przypuszczać, że kiedyś w tej okolicy nawet przetapiano żelazo z rudy darniowej. Nową dzielnice na Rudkach nazwano „Osiedle".

Przykładów można przytoczyć wiele.

A teraz przejdźmy do samego miasta, które przecież jest wynikiem wielu wydarzeń społecznych i gospodarczych a przechodziło koleje podobne jak i obecnie. Był czas, że Rzeszów był małym miastem, następnie rozwijał się, budowano nowe dzielnice, nowe ulice, nadając im bądź to nowe nazwy, bądź też zachowując nazwy stare. Była ulica o przemiłej nazwie: Różana.

Ostatnio doniosła prasa, że w Łodzi przywrócono dawne nazwy ulic. Miało więc w Łodzi miejsce wydarzenie: podarto dokumenty historyczne ale ich na szczęście nie spalono. Ktoś, mający szacunek dla historii, pozbierał strzępy, złożył je, poklejł — uratował dokumenty historyczne. Na narożach ulic znowu ukazały się tabliczki z nazwami, świadczącymi o rozwoju, o historii miasta.

Czy w Rzeszowie nie miało miejsca również niszczenie dokumentów historycznych świadczących o przeszłości miasta? Taka nazwa jak: Nowe Miasto powstała w XVII, inne zaś w XVIII czy XIX wieku. Ale ludzie znajdują czasami przyjemność w niszczeniu, m. in. i dokumentów historycznych. Od wielu już lat dokonują się przemiany ulic, placów itd. Na nowe nazwy jest dość miejsca na nowych ulicach i placach, ale nazwy stare powinny pozostać. Mogę wyliczyć szereg nazw tej samej ulicy. Robili to ludzie nie mający szacunku dla historii i tradycji. Wydawali wyroki pochopnie, nie pytając już nie strony zainteresowanej, bo ta mówić nie może, ale właściwych świadków, przede wszystkim historyków i miłośników danego miasta.

Z uznaniem witając czyn władz miejskich w Łodzi wnoszę o rehabilitację naszych ulic i placów i przywrócenie im starych nazw historycznych, świadczących o życiu i rozwoju miasta.

Fr. Kotuła

WAGON-ŚWIETLICA NA BOCZNYM TORZE

Byli już wszędzie.

W odległych miejscowościach Podkarpacia, w powiecie lubaczowskim i przemyskim, w miejscowościach na szlaku kolejowym w środkowej części naszego województwa, wszędzie tam gdzie brak jest stałych kin, a ludzie pozbawieni są godziwej rozrywki po pracowicie spędzonym dniu.

Tow. Bolesław Czajkowski kierownik świetlicy na kołach od czerwca ubiegłego roku objeżdża ze swoim wagonem — świetlicą całe nasze województwo. Dzielnie pomaga mu mechanik operator Wł. Dubrawski.

Znają ich chłopi, kolejarze, żołnierze, robotnicy PGR, kobiety, a przede wszystkim dzieci. Te są najciekawsze a zarazem są najbardziej wdzięcznymi widzami wyświetlanych filmów. Do Łupkowa na filmy przyjechały dzieci furmankami z miejscowości odległych o 18 km.

Bajka, film fabularny i dokumentalny oto repertuar wagonu — świetlicy. W październiku br. odwiedzono Rzepedź, Nowy Łupków, Horyniec, Werhrate i Hurko.

Tow. Czajkowskiemu i Dubrawskiemu oraz Zarządowi Rzeszowskiego Oddziału Związku Zawodowego Kolejarzy życzymy powodzenia tej ciekawej kulturalnej działalności.

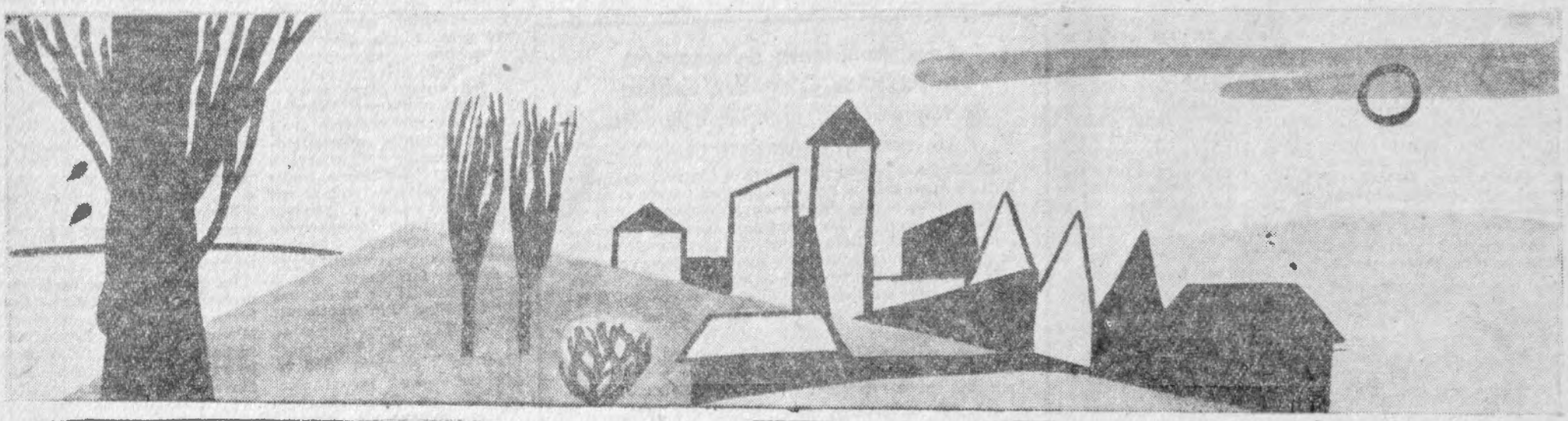

Rys. J. SIENKIEWICZ

NOWY PROGRAM „Mazowsza" — rewelacją artystyczną

Nowe, piękne melodie; ład niejszę i bardziej urozmaicone tańce; wzbogacony folklorem Żywca, Podlasia, Kujaw, Wielkopolski, Krakowskiego, a przede wszystkim folklorem Warszawy repertuar — to zdobycze nowego programu „Mazowsza", którego premiera odbędzie się już za kilkanaście dni.

Czegóż tu nie ma! Żartobliwe piosenki podlaskie i lubelskie, śpiewane przez dziewczęta w żółto-czerwono-zielonych strojach. Uroczy tryptyk żywiecki — polonez, walczyk i poleczka (układ Zbigniewa Kilińskiego). Tańczą i śpiewają młodzi artyści w słynnych już z piękności strojach tego regionu: misterne koronki, wspaniałe kryzy dziewcząt; czarne sukmany chłopców.

Prawdziwą feerią barw są jednak dopiero kostiumy w krakowiaku. Ten numer programu składa się z dwóch części: w pierwszej — pod muzykę kapeli — zespół tańczy i śpiewa niestylizowane, autentyczne krakowiaki. To dobra lekcja dla zwolenników autentyzmu, która pozwala lepiej ocenić piękno opracowania Sygietyńskiego w drugiej części tego numeru. Nieraz mówili mi chłopcy z „Mazowsza", dobrze przecież znający folklor wiejski, że jego bogate zresztą motywy nie opracowane przez artystę nie nadają się do słuchania i oglądania. Oczywiście, sprawą talentu artysty jest zachowanie istoty sztuki ludowej.

Mamy też w nowym programie wielkopolskiego „Świniarza" i oryginalną wielkopolską kapelę, z tradycyjnym instrumentem ludowym — kozłem, na którym nauczył się grać jeden z członków zespołu. Wielką ozdobą programu są — kujawiak i polonez żywiecki, świetnie tańczone przez balet „Mazowsza" (układ Z. Kilińskiego), krakowiak i oberek (układ Elwiry Kamińskiej) oraz suita tańców lubelskich (układ Kaniorowej).

W nowym programie jest wiele piosenek, które — jestem przekonany — zdobędą sobie nie mniejsze powodzenie, niż „Kukułeczka", „Przeleciał ptaszek" czy „Pod borem". Jednak na mnie szczególnie silne wrażenie wywarła bogata część warszawska. Zaczyna ją nastrojowa kołysanka (solo: Irena Wiśniewska, ta, która zachwyciła niemały szmat ziemi wykonaniem piosenki „Przeleciał ptaszek"). Gwoździem programu stanie się, niewątpliwie, „Warszawa" Gałczyńskiego:

Choćbyś morzem żeglował
Choćbyś lądem wędrował
nie wiem jaką krainą
ciekawą —
ona weźmie cię dłońmi
sen ją w nocy przypomni
i jak dziecko zawołasz:
Warszawo —
A niech zerknie, mój bracie
księżyc na Marienszcie,
albo liść zawiruje
złotawy —
niech wiatr dmuchnie od rzeki —
a już jesteś na wieki
zakochany w urodzie
Warszawy.

Ten fragment tekstu tylko w małej części może oddać piękno pieśni, której decydującym elementem jest przecież muzyka. Jak i całego programu Sygietyńskiego...

Podobny w nastroju jest „Polonez warszawski" do słów Jerzego Ficowskiego. Oto jedna jego zwrotka:

Tu zaułków dawnych cień
Z gruzułmy do gwiazd podniesili,
Tu przepływa dzień za dniem,
Niby nuta naszej pieśni,
Śmieje się Warszawa znów
Najserdeczniej, najweselej,
Rozumiemy się bez słów,
Jak przyjaciel z przyjacielem.

Interesująca jest satyryczna piosenka polityczna z 1840 r. „Furman", którą świetnie śpiewa z towarzyszeniem chóru młodziutki, nowoprzyjęty do zespołu, St. Jopek.

Jest w nowym programie jeszcze parę niespodzianek: największą z nich jest piosenka z Powstania Warszawskiego (słowa Ficowskiego). Niespodzianka, więc nie zacytujemy nawet jednej zwrotki.

Tak więc, nowy program rozszerza zainteresowania „Mazowsza" na folklor innych regionów kraju. Jest to jak najbardziej słuszne, gdyż trudno sobie wyobrazić, aby „Mazowsze" do końca swego istnienia zajmowało się wyłącznie pieśniami i tańcami ziemi mazowieckiej — zresztą nie najbogatszej pod tym względem. Najpiękniejsze melodie mazowieckie zostały już opracowane i na trwałe weszły do repertuaru zespołu, a co ważniejsze — do skarbnicy pieśni polskiej. Obecnie do skarbnicy tej wejdą — dzięki „Mazowszu" — pieśni innych regionów.

Długo przyszło nam czekać na ten nowy program „Mazowsza". Pierwszy ze swoją „Kukułeczką", Bandoską", „Jadą goście" itd., dawno zdobył serca nie tylko całej Polski, ale i Moskwy, Paryża, Pekinu, Pragi, Budapesztu i wielu, wielu, miast Europy i Azji. Kukułeczki z „Mazowsza" lat 1949/50 są dziś już dorosłą młodzieżą. Początkowy urok pewnego prymitywu zastępuje większe wykształcenie, rozwój artystyczny. Siłą rzeczy

(Dokończenie na str. 4)

...Nie uważaj młode dziewczę, chociaż w piekle parzy
Kochaj, kochaj młodych chłopców
Kiedy ci się zdarzy

● Listy do redakcji ● Listy do redakcji ● Listy do redakcji ●

W ostatnim okresie redakcja „Nowin Tygodnia" otrzymuje wiele listów od młodej inteligencji, rozrzuconej po miastach i miasteczkach naszego województwa. Autorzy tych listów poruszają wiele problemów z życia młodych ludzi, którzy niedawno opuścili uczelnie i znaleźli się na tzw. zapadłej prowincji. W niektórych brzmią nuty rozgoryczenia, zniechęcenia i pesymizmu, w innych przeważa entuzjazm i wiara w możliwości rozwoju życia kulturalnego w opisywanych środowiskach.

Zamieszczając w dzisiejszym numerze dwa spośród tych listów chcemy zainteresować szerszy krąg czytelników poglądami autorów, a być może nawet uda się nam spowodować dyskusję na poruszane przez nich tematy.

* * *

„SPOWIEDŹ INTELIGENTA"

REDAKCJA „NOWIN RZESZOWSKICH" — DZIAŁ KULTURALNY.

Przesyłam artykuł: „Spowiedź inteligenta" do ewentualnego wykorzystania na łamach „Nowin Rzeszowskich". Poruszam w nim sprawę życia kulturalnego na tak zwanej prowincji. Proszę mi wierzyć, że niewiele przejaskrawiłem ową spowiedź. Uczyniłem tak w nadziei, że ktoś odpowiedzialny za losy kultury zechce zrozumieć, że kino i występ amatorski nie zaspokajają potrzeb kulturalnych ludzi w małych miasteczkach.

Jan Didyk

* * *

Lekarz, starszy, sympatyczny mężczyzna, odłożył na stół słuchawkę, przy pomocy której badał stan moich płuc.

— Nie znajduję niczego, co usprawiedliwiałoby pański nie pokój o zdrowie — zawyrokował — mimo to usiadł, wyrwał z receptariusza bloczek, gotów do wypisania jakiegoś lekarstwa.

— Panie doktorze, dręczą mnie złe myśli. Boję się ich, a najbardziej w niedzielę. Fizycznie czuję się dobrze i byłem pewny, że badanie nie ujawni żadnego niedomagania organizmu.

Lekarz podniósł głowę i spojrzał na mnie badawczo. Uśmiech, którym z nawyku koił obawy pacjentów, ześliznął się z warg.

— Czy pan doktor byłby skłonny poświęcić mi kilka minut, aby wysłuchać mego opowiadania? Wiem, że przed drzwiami niepokoją się pacjenci, spoglądają na zegarki, że ważą szanse dostania się do gabinetu.

— Proszę mówić, słucham.

— Na początku jedno pytanie: jak długo praktykuje pan w tym mieście?

— Osiem miesięcy.

— Obawiam się wobec tego, że trudno będzie panu mnie zrozumieć. Zdziwienie lekarza przyjąłem obojętnie; czułem potrzebę spowiedzi przed kimkolwiek. Urojone kłócie w okolicy serca posłużyło mi za pretekst do złożenia mu wizyty.

— Powiedziałem już, że w niedzielę oblegają mnie straszne myśli, gotów jestem do popełnienia jakiegoś szalonego czynu. Wstaję rano, spoglądam przez okno. Deszcz siąpi od kilku dni, a wiatr wymiata liście z podwórza. Barometr — jak na złość — nie wróży odmiany pogody. Zaraz jawi się problem: co robić?

Wychodzę do miasta kupić czasopisma, mijam wystrojonych ludzi, spieszących lub wracających statecznym krokiem z kościoła. Mieszkam w mieście od wielu lat i mam licznych znajomych, wymieniamy ukłony. Przestali się dziwić że nie chodzę do kościoła, a mimo to pozostałem porządnym człowiekiem.

Lekarz — zauważyłem — uśmiechnął się wyrozumiale.

— Ale gdyby pan doktor wiedział, jak ciężko i strasznie być porządnym człowiekiem — poskarżyłem się. — Docieram do rynku. Każdego dnia widzę ten sam obraz: pusty, zaśmiecony czworokąt obrzeżony drzewkami, pasem chodnika i kamienicami, w których mieszkają „straszni" mieszczanie. Pan doktor zna Tuwima? Na środku placu wznosi się pomnik wdzięczności, wokół kuli się kilka ławek, po przeciwnej stronie kościół, opodal gospoda ludowa. Spoglądam na rozlepione na murze afisze: wezwanie do zapłaty którejś tam raty podatku gruntowego, obwieszczenie o przeglądzie ogierów, zaproszenie na zabawę, którą urządza ochotnicza straż pożarna z przeznaczeniem dochodu na zakup instrumentów dla orkiestry dętej, zaproszenie na mecz Unia—Stal, spłowiały afisz Święta Odrodzenia i strzępy papierów targanych przez wiatr. Dopuszczam do siebie żałosną myśl, dlaczego przerastam ambicjami ludzi, którzy będą tłoczyć się przed bramą boiska, o potem wyżywać się w okrzykach i gwizdach, albo w przystrojonej wstęgami bibuły i festonami z choiny tańczyć przy dźwiękach „orkiestry wyborowej" i upijać się w bufecie „obficie zaopatrzonym".

Mógłbym pójść do kina, gdyby nie odrażały mnie ciasnota i zaduch w sali, charkot głośnika. O teatrze ani marzyć! Byłem przed dwoma miesiącami na „Zemście". Grał ją zespół amatorski z Lublenia. Widzowie bawili się doskonale, ja, niestety, nie. Wiem co mi dolega: nadwrażliwość. Jak szczęśliwi są ludzie o stępionej zdolności odczuwania i małych ambicjach.

Dzięki znajomości z kioskarzem kupuję Przekrój, Świat, Dookoła Świata, Po prostu, Kierunki, Nową Kulturę, Przegląd Kulturalny, Życie Literackie. Lektura tych czasopism czyni mnie — pochlebiam sobie — znawcą najnowszych wydarzeń, wydaje mi się, że potrafiłbym podjąć się dyskusji na każdy temat, wiem co grają w warszawskich i krakowskich teatrach. Kiedyś, jadąc służbowo do Warszawy, wmieszałem się nieśmiało do rozmowy pasażerów, dzielących ze mną przedział — byłem dumny, że potrafię rozmawiać o Utrillu, Hemingwayu, Vercorsie. Wróciłem do domu i... owładnęło mną przygnębienie: znowu nadpłyną dni podobne do siebie, blade, jałowe, puste kratki czasu.

Cały czas obserwowałem siedzącego naprzeciw mnie lekarza. Słuchał cierpliwie i czasem pochylał głowę, jak gdyby zachęcał mnie do dalszych wynurzeń. Bez względu na to jakby się zachował, musiałem mówić. Czytając prasę zmuszam się do wykrzesania z siebie radości i dumy z naszych narodowych sukcesów, ale to wszystko dzieje się z dala ode mnie. Nic się nie zmieniło w mieście od przedwojennych czasów. Życie płynie nadal wolno, utartym łożyskiem, te same troski, radości towarzyszą ludziom. Rzekłbym nawet, że kłopoty są liczniejsze, bardziej dokuczliwe, zniechęcające.

— Próbował pan wyrwać się z kręgu tych myśli?

— Ma pan na myśli życie towarzyskie, pracę społeczną — podpowiedziałem. — Pierwsze mnie nie pociąga. Ha, gdybym grał w karty, pił, umiał się godzić z ludźmi w ich sądach o lepszych przed wojną czasach, nie zabierałbym panu czasu. Praca społeczna. Pan doktor dobrze chyba wie z własnego doświadczenia jak wiele zabiera czasu bez żadnego ekwiwalentu nawet moralnego. Zresztą, gdy się raz pokazało, że umie się to czyowo, pada się ofiarą niesłychanego wyzysku.

— Rzeczywiście — przyznał lekarz — z takim usposobieniem trudno żyć panu w społeczeństwie.

— Neurastenia? — zapytałem lękliwie.

— Nie. Nadwrażliwość. Sam pan ją stwierdził u siebie. Co panu poradzić? Zmianę otoczenia? Wątpię, aby panu pomogła. Pocieszyć, że jest więcej takich jak pan ludzi?

Oto człowiek, który mnie zrozumiał — pojąłem nagle z radością. Wstałem, lekarz podał mi na pożegnanie rękę zwyczajnym gestem.

* * *

Jeśli lekarz uznał, że jestem zdrowy, nie sądzę, aby Pan, Panie Redaktorze, miał podstawy sądzić o mnie inaczej na podstawie mego listu, co najwyżej może Pan dojść do przekonania, że jest w nim dużo przesady. Zresztą nie pisze o sobie, choć użyłem pierwszej osoby ale proszę wierzyć, że ciężko jest żyć z dala od kulturalnych centrów w takiej Żołyni, Sokołowie, Ropczycach, Dubiecku i wszędzie tam, gdzie o kulturze tylko się czyta i słyszy przez radio.

Czy pozwoli Pan zadać sobie na koniec pytanie? — Ile razy potrafi Pan wysłuchać płyty nadawanej przez radiowęzeł: „Kwiat paproci"?

JAN DIDYK
Łańcut, ul. Mickiewicza 18

W OBRONIE „ZIEMI NIEZNANEJ"

W dniu 25 sierpnia 1956 r. ukazał się w „Nowinach Tygodnia" artykuł K. Świerczewskiej, informujący czytelników o zapomnianym zakątku naszego województwa, wysuniętym daleko na południowy wschód, o Ustrzykach Dolnych.

Ucieszyłam się bardzo, gdy przeczytałam ten artykuł, bo właśnie kilka dni temu otrzymałam skierowanie do pracy w charakterze nauczyciela języka polskiego do Ustrzyk. Chcę więc teraz napisać słów kilka o moich wrażeniach po miesięcznym pobycie w tym mieście.

Początkowo, po otrzymaniu skierowania, byłam zadowolona, ale po oznajmieniu tego faktu moim znajomym, krewnym itp. usłyszałam ogromne kalumnie na temat tego miasta — że niby dziura zabita deskami, stolica opojów, złodziei, kombinatorów, ba, nawet takich, którzy czatują na ludzkie życie. Drwiący uśmieszek igrał na ustach moich „troskliwych" znajomych. I do takiego miasta dostać się po tylu latach studiów? Śmieszne. Niektórzy pytali się z tym samym półuśmieszkiem na twarzy, czy tam jest szkoła? Inni podziwiali moją odwagę i poświęcenie. Po tylu przyjacielskich sądach, sama zaczęłam się tych Ustrzyk bać i kiedy pierwszy raz przyjechałam, aby zobaczyć to „ciekawe" miasto, oglądałam się mimo woli za siebie, czy przypadkowo jakiś kamień nie zleci mi na głowę. Nic dziwnego, przecież słowa znajomych... „środowisko opojów i zbirów wszelkiego rodzaju"... brzmiały mi w uszach. Opinia, jaką w myśli wydałam temu miastu po dwugodzinnym w nim pobycie, potwierdzała pewne (nie wszystkie zresztą) zasłyrzane sady. Ale wiadomo... że tu nie Kraków, i aby wydać naprawdę wiarygodny sąd, trzeba lepiej poznać to niezwykłe środowisko. Obecnie opinię o Ustrzykach zmieniam z każdym dniem i uważam, że tylko wówczas można wyrazić właściwe zdanie o pewnym środowisku, gdy się go lepiej pozna.

Zaprzeczam wobec tego wszystkim „usłużnym informatorom", którzy Ustrzyk na oczy nie widzieli, a takie niewiarygodne opinie mogli wydawać, sami zresztą pochodząc z podobnej prowincji. Ustrzyki to nie Warszawa, ale również nie jest to przysłowiowa „dziura zabita deskami" jak chcą niektórzy. W tym mieście również wre praca, buduje się nowe domy, rozbudowuje się szpital, rozwija na szeroką skalę kopalnictwo naftowe. Żyją w nim ludzie, którzy swą uczciwą pracą dokonują zmian na lepsze. Podobnie jak w każdym mieście naszego województwa, a nawet kraju toczy się tutaj życie zwyczajne, codzienne, ale jednak zmieniające dzień po dniu oblicze tego miasta. Ludzie są tacy sami (wierzcie mi) jak w stolicy i nie brak im tu codziennej troski, radości, a nawet godziwej rozrywki. O, tutaj właśnie może ktoś postawić znak zapytania, rozrywki w Ustrzykach? Wprost nie do wiary, chyba jakaś zabawa, na której można, jak się to mówi „oberwać". Nie, wszyscy, którzy tak twierdzą, mocno się mylą. I ja tak sądziłam, a jednak jest inaczej. Od czasu do czasu bowiem odwiedza Ustrzyki Teatr Ziemi Rzeszowskiej czy też zespół z innego miasta. W tym miesiącu grano 2 sztuki: „Ożenić się nie mogę", A. Fredry, wystawił teatr z Tarnowa, a Państwowy Teatr Ziemi Rzeszowskiej przyjechał ze sztuką Brandstaettera „Ludzie z martwej winnicy". Kino „Orzeł" zmienia 2 razy w tygodniu film, ostatnio gościł u nas Teatr Lalek.

Powiecie, że to mało, faktycznie... i tu apel właśnie do Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej, aby raczył częściej odwiedzać ten zakątek „wśród gór", apel do PDK, by częściej organizował ciekawe imprezy, które przyciągałyby społeczeństwo Ustrzyk. Działa tu również (jak mnie informowano, nawet sprawnie) TWP. Towarzystwo to ma wielu ofiarnych członków wśród pracowników instytucji oraz wśród grona nauczycielskiego. Wygłaszają oni odczyty nie tylko w samych Ustrzykach, ale nawet w najbardziej odległych wioskach tegoż powiatu.

Skrzywdzono Ustrzyki, nadano temu miastu piętno jakieś gość nadzwyczajnego grajdołka, które przyjęło się wśród społeczeństwa i które trudno jest teraz wykorzenić. Trzeba wobec tego raz już skończyć z terminami „prowincja" (nie tylko jeśli chodzi o Ustrzyki), „zakuta dziura" itp., a zwłaszcza apeluję do tych, którzy sieją bezpodstawne wieści o tym mieście, mówiąc, że jest to ziemia, na którą wysyła się ludzi za karę. Twierdzenie takie jest bezpodstawne, my sami siebie ośmieszamy, bo kto wydaje taki sąd? Ludzie z tutejszego województwa, z tutejszej okolicy. Pytałam jednego z moich „narratorów", który opowiadał niefortunne wieści o Ustrzykach, kiedy był w tym mieście po raz ostatni. Odpowiedział, że nie był w nim wcale, ale przecież wystarczy, że „ludzie opowiadają".

Mili czytelnicy!

Jest jedno wyjście — zobaczyć, przekonać się, a potem mówić... czyli od szczegółowych spostrzeżeń do ogólniejszych wniosków, które na pewno będą inne. Abstrakcyjne, nie poparte dowodami wnioski tutaj do niczego nie doprowadzą, a tylko osłabiają zapał do pracy tych, którzy właśnie tam rozpoczynają swój start. Krzywdzą one również nas samych gospodarzy tego województwa. „Ziemia nieznana" niech nie będzie już więcej przedmiotem drwiących uśmieszków na ustach tych, którzy sami naocznie nie przekonali się o życiu i pracy w tym mieście. I w Ustrzykach bowiem wznosi się cegiełkę pod budowę nowych, lepszych dni całego naszego kraju.

Mgr MARIA PAWLIK
nauczycielka Szkoły Ogólnokształcącej w Ustrzykach Dolnych

Ze źródeł dobrze poinformowanych dowiadujemy się, że bliżej zainteresowane czynniki opracują specjalny przewodnik po Rzeszowie już w najbliższej pięciolatce.

Toteż zanim dojdzie do opublikowania tego wielkiego dzieła postanowiłem udostępnić licznym PT wycieczkowiczom i turystom tym czasowy przewodnik po Rzeszowie.

POŁOŻENIE

Wbrew twierdzeniom niektórych pesymistów, Rzeszów leży jednak w Europie. Istnieją jedynie pewne różnice co do lokalizacji. Mianowicie mieszkańcy Przemyśla twierdzą, że Rzeszów leży na niedostępnym zachodzie, natomiast krakowianie utrzymują, że świetny ten gród położony jest na Dalekim Wschodzie.

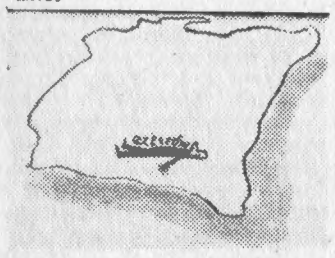

Poniektórzy przedstawiciele instytucji centralnych, ministerstw oraz tzw. posłowie centralni poddają w wątpliwość fakt, że Rzeszów leży w Polsce.

Najbliższy kongres geografów położy podobno kres owym nieporozumieniom.

FLORA

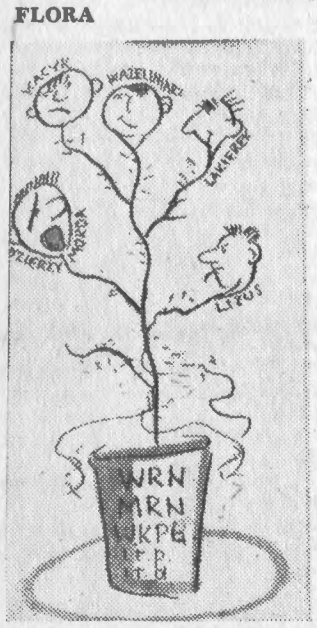

W Rzeszowie rozwijają się bujnie chwasty, zwłaszcza w tzw. aparacie rad, w przeciwieństwie do aparatu handlu, w którym kwitną kwiatki nie z tej ziemi. Do powszechnie spotykanych należą tu także niewinne lilijki.

FAUNA

Dość często spotykaną zwierzyną, zwłaszcza w śródmieściu są sarenki. Nie brak jednak kóz i gąsek oraz niebieskich ptaszków. Wydry i pantery należą do rarytasów. Węzłowe pozycje miasta obsadzone są przez barany, natomiast większą popularnością cieszą się masowo strzelane byki. Całkowity brak kozłów ofiarnych. Również kaczki wyszły zupełnie z mody, w przeciwieństwie do tchórzy które mimo niekorzystnego dla nich klimatu jeszcze nie wyginęły.

LUDNOŚĆ

Mieszana — mężczyźni, kobiety i przyrost naturalny. Ten ostatni przerasta znacznie możliwości kwaterunkowe miasta.

KLIMAT

Przesadnie umiarkowany.

JĘZYK

Należy trzymać za zębami. Wyjątek stanowi bardzo aktywna grupa Centrali 3 P.

HISTORIA

Bliższych danych udzielają na żądanie wytrawni specjaliści z Towarzystwa Historyków.

HANDEL

MHD, CHPP, MHM, MHW, Centrogal, Arged, PSS, WHPD, WPHM „Delikatesy" i cluchy. Te ostatnie słyną nawet w Warszawie.

PRZEMYSŁ

Kluczowy, terenowy i własny. Organizowanie, kombinowanie i urządzanie własnym przemysłem jest najbardziej popularne.

ZAKŁADY GASTRONOMICZNE

Raczej — gaz...

LITERATURA

Patrz — „Życie kulturalne Ziemi Rzeszowskiej"

MUZEA I ZABYTKI

Nader powszechnie spotykane są eksponaty żywe z okresu C i K Austro Węgier. Eksponaty te pozostają pod szczególną opieką czego niestety nie można powiedzieć np. o synagodze.

PLASTYKA

Rutynowani plastycy oraz „Grupa 14". Ponadto mnóstwo miłośników bohomazów — patrz ściany większych obiektów.

CERAMIKA

Frontony domków przy ul. 3 Maja

SZTUKA

Do najtrudniejszych sztuk należy zdobycie mieszkania, do średnich umiejętność korzystania z usług MKS. Jest też Teatr przeważnie pusty, kina przeważnie przepełnione oraz strzelnica sportowa. Najwięcej odbiorców znajduje jednak sztuka mięsa.

ŻYCIE KULTURALNE

W zalążku. Miejscowy Klub Młodej Inteligencji w stadium walki o czystość ulic i tzw. szeregów.

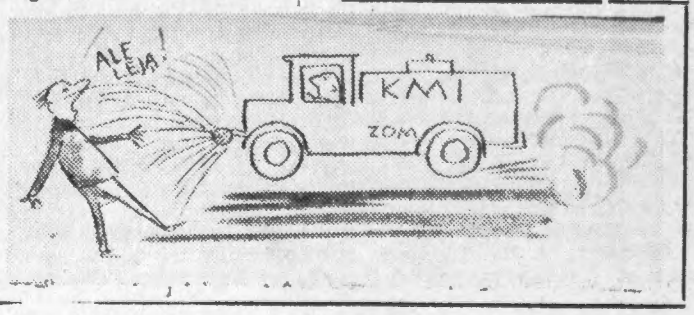

Kronika Kulturalna

Na scenach Czechosłowacji coraz częściej pojawiają się sztuki polskie. Ostatnio Narodne Divadlo w Bratysławie (przodujący teatr słowacki) wystawił „Pana Jowialskiego" Aleksandra Fredry w przekładzie J. Hodorowskeho. Inscenizacja i reżyseria fredrowskiej komedii jest dziełem Jana Borodacza artysty ludowego Republiki, laureata Nagrody Państwowej, wybitnego działacza słowackiej kultury teatralnej i zasłużonego od wielu lat propagatora polskiej dramaturgii. Przypominamy jednocześnie, że prof. Jan Borodacz bawił w styczniu br. w Rzeszowie wraz z pierwszą czechosłowacką delegacją kulturalną, jaka odwiedziła nasze województwo; wziął wtedy udział w kilku spotkaniach z naszym społeczeństwem, m. in. z zespołem Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej. W roli Pana Jowialskiego wystąpił znakomity aktor słowacki Karol Zachar zdobywając uznanie krytyki i publiczności — szczególnie za kapitalną interpretację fredrowskich bajek.

• • •

Staraniem Wydziału Kultury Prezydium WRN w dniach 23, 24 i 25 października w PDK w Jaśle odbyło się trzydniowe Wojewódzkie Seminarium Szkoleniowe dla kierowników oraz instruktorów Oddziałów Kultury i Powiatowych Domów Kultury. Seminarium było poświęcone sprawom decentralizacji i demokratyzacji działalności kulturalno-oświatowej w naszym województwie. Przebieg i wnioski z narady zasługują na obszerniejsze omówienie.

• • •

Na IV Ogólnopolski Konkurs Recytatorski, który jeszcze w tym roku obejmie eliminacje środowiskowe i powiatowe, napływają coraz liczniejsze zgłoszenia z całego województwa. Duże zainteresowanie konkursem spotykamy w powiatach: Przeworsk, Łańcut, Rzeszów i Ropczyce.

• • •

Zespół rzeszowskiej estrady wiejskiej, który powstał w kwietniu br. z inicjatywy Ekspozytury Państwowego Przedsiębiorstwa Imprez Estradowych w Rzeszowie obchodził 21 bm. uroczystość setnego występu z komedią muzyczną Stefana Chmielnickiego „Zaloty i kłopoty" (z muzyką Józefa Podobińskiego i Leona Rzewuskiego). Występ ten odbył się w Cieszanowie (powiat lubaczowski).

• • •

W Rzeszowie w Wojewódzkim Domu Kultury wystąpił 120 osobowy Zespół Pieśni i Tańca WRZZ z Lublina „Lubelskie" pod kierownictwem artystycznym Zygmunta Tądysa. Goście z Lublina wystąpili z szeregiem pieśni i tańców, największe jednak powodzenie miała lubelska suita weselna. Występ wzbudził duże zainteresowanie i odbył się przy wypełnionej widowni.

• • •

Regionalny pokaz architektury województwa rzeszowskiego zorganizował w Domu Kultury WSK w Rzeszowie Komitet do Spraw Urbanistyki i Architektury w Warszawie, Wojewódzki Zarząd Oddziału Stowarzyszenia Architektów Polskich w dniach od 21 do 27 października. W związku z pokazem odbyła się również regionalna narada architektów.

• • •

W Mielcu odbyła się w sali teatralnej nowego Klubu Spółdzielczego premiera „Fircyka w zalotach" Zabłockiego w wykonaniu Międzyspółdzielnianego Zespołu Dramatycznego pod kierownictwem Jadwigi Jawor. Przeprowadzono tam ponadto Wojewódzki Przegląd Zespołów Dramatycznych i Estradowych Spółdzielczości Pracy. Obok zespołu z Mielca spółdzielcy z Dębicy wystąpili z komedią Gozdawy i Stępnia „Moja żona Penelopa", a międzyspółdzielniany zespół z Leżajska zaprezentował program estradowy przygotowany przez prof. Dańczakową i Romana Korzempę.

Ballada

o ciotce

(Piosenka na nutę „O, mona")

W Natolinie ciotkę mam
Rodzoną.

Orientację ciotki znam
Skrzywioną.

Ciotce wydawało się
Od marca,

Że wyłączne prawo ma
Do garnca.

Kazywała przeto psu
Co wieczór

Garnca niczym bramki strzec
Jak w meczu.

Tak idylla trwała ta,
Pół roku,

Pies podżerał z garnca wciąż,
Obroku.

Aż tu nagle ludzie źli
O rany!

Odebrali ciotce gar
Kochany.

Okazało się, że rzecz
(Znienacka)

Wcale nie jest ciotki, lecz
Gromadzka!

Garniec sprzątli ciotce wprost
Sprzed nosa,

Na gromadę łypie więc
Z ukosa.

BOGUSŁAW REICHHART

Nowy program „Mazowsza"

(Ciąg dalszy ze str. 3)

zmienił się charakter „Mazowsza". Większość członków „Mazowsza" pochodzi z „zaciągu" Tadeusza Sygietyńskiego i została przez niego odnaleziona w mazowieckich chatkach, na mazowieckich pastwiskach. Ale w ciągu tych 7 lat prawie 40 % członków — przy selekcjach artystycznych — musiało opuścić zespół. Przyszli nowi. Tylko w tym roku — 23 osoby, przeważnie z „Warszawy" i „Skolimowa". Tak zespół stale „odświeża" się, ale dobrze, że wychowankowie Sygietyńskiego stanowią większość. Oni utrzymują styl i charakter, jaki nadał „Mazowszu" jego wielki twórca.

Niewątpliwie — zabranie Sygietyńskiego na rok z „Mazowsza" (1953-54) nie przyczyniło się do podniesienia poziomu artystycznego zespołu i nie przyśpieszyło opracowania nowego programu. Po powrocie — w ostatnich miesiącach życia — musiał Sygietyński wiele wysiłku poświęcić przywróceniu „Mazowszu" dawnego poziomu artystycznego.

Nic dziwnego, że uczniowie i wychowankowie z taką miłością wspominają swego nauczyciela. Jego styl i metoda jest do dziś busolą zespołu, kierowanego obecnie przez długoletniego, najbliższego współpracownika Sygietyńskiego — żonę — Mirę Zimińską. Ona też wyreżyserowała ten nowy program przygotowany jeszcze przez Sygietyńskiego, do którego napisał on muzykę lub opracował ją na podstawie melodii ludowych.

Jeśli nowy program „Mazowsza" odniesie wielki sukces — a wszystko na to wskazuje — będzie to jeszcze jednym zwycięstwem Tadeusza Sygietyńskiego.

ALEKSANDER ROWIŃSKI

Nie trudno zgadnąć

ZAGADKA GEOMETRYCZNA

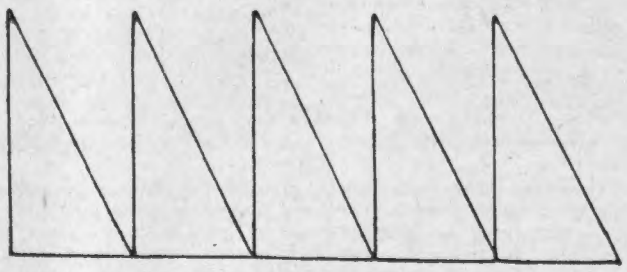

Z tych pięciu prostokątnych trójkątów ułożyć kwadrat, z tym, że jeden z trójkątów wolno rozciąć na dwie części.

Za rozwiązanie tych zagadek przysłane w terminie 14-dniowym pod adresem Oddział Redakcji „Nowin Rzeszowskich" Przemyśl, Mickiewicza 8 „Rozrywki umysłowe" przeznaczone są do rozlosowania 3 nagrody w postaci bonów książkowych.

ROZWIĄZANIE ZAGADEK z nr 34 (336)

Układanka: „Ogólnopolskie dożynki" (zagon, palarnia, skorupka, seler, skiba, podstoli, mużczyna, kąkol).

Jej pokoik...: „lampa, ampla, palma, plama".

Nagrody otrzymują: I Teresa Pinczewska — Stalowa Wola, II Stanisława Delimatowa — Przemyśl, III Stanisław Bożek — Budziwój.